

MOJE ZIEMIE ODZYSKANE – ZŁOTE LATA POWOJENNE

NORBERT WIECZOREK

„Ziemie odzyskane” – tym mianem zostały nazwane zachodnie i północne tereny przyłączone po zakończeniu wojny do Polski w wyniku uzgodnień zwycięskich mocarstw.

„Odzyskane” – bo w dużej mierze pokrywały się z terenami Polski Piastów sprzed sześciuset laty, choć znaczna ich część, jak Pomorze Zachodnie raczej mało miała z Piastami do czynienia. W ten sposób mocarstwa chciały z jednej strony okroić i osłabić przegrane Niemcy, a z drugiej wynagrodzić Polskę za utratę blisko połowy wschodniej części kraju na rzecz Związku Radzieckiego. Utraciliśmy wtedy dużo większy obszar na wschodzie, ale ubogi i zacofany, zwany też „Polską C” i do tego zamieszkały w większości przez ludność białoruską czy ukraińską. W tej utraconej połaci były jednak takie perły jak Wilno, czy Lwów – silne ośrodki kulturalne, od wieków związane z Polską.

Przesunięcia granic spowodowały masowe przesiedlenia żyjącej tam uprzednio ludności. Niemców przesiedlano na tereny ówczesnej strefy radzieckiej – późniejszej NRD a w to miejsce wprowadzano mieszkańców z terenów wschodnich. I tak nastąpiło kulturowe zderzenie naszych wschodnich przesiedleńców z cywilizacyjnymi osiągnięciami sześciuset lat niemieckiego panowania na tych „odzyskanych ziemiach”.

Zanim jednak wysiedlanie i zasiedlanie zaczęło się na dobre, tereny te były ogałacane przez zwycięską Armię Radziecką, a potem zwykłych grabieżców z centralnej Polski, zwanych „szabrownikami”. Słowo to, kiedyś oznaczające szorowanie packą po nakładanym na mur tynku, dobrze odzwierciedlało „drapanie”, co tylko się dało i potem tak nawet sparafrazowano filmową piosenkę o osadnikach, śpiewając: *„Szli na zachód szabrownicy...”*

Jak by nie było, to w tych pierwszych powojennych latach, nawet dla bardziej rozwiniętych, ale zniszczonych wojną regionów kraju, ten „Zachód”, to było wprost eldorado i żeby, choć tylko zobaczyć, ciągnęły tu tłumy. A te ziemie, to nie tylko przemysł i miasta, ale i wspaniałe tereny z licznymi wczasowiskami i uzdrowiskami.

Pamiętnym w kraju był rok 1948, kiedy to tereny te były już zasiedlone przez polską ludność, a jeszcze niezbyt zniszczone przez nowych przybyszów. „Władza ludowa” chcąc przekonać świat zachodni do swoich idei komunistycznych, zorganizowała we Wrocławiu „Kongres Pokoju”, na który zaproszono intelektualistów z całego świata. Symbolem tego kongresu stał się gołąbek namalowany przez samego Picassa.

A że wtedy jeszcze szerokim strumieniem dopływała do Polski UNRRA – czyli amerykańska pomoc firmowana przez ONZ, to po latach wojennego głodu, był to dla kraju okres względnego dobrobytu. Właśnie w tym roku

byłem jako dzieciak, w krótkich odstępach czasu, dwukrotnie na tych terenach. Ale po kolei.

W Polsce, która po pierwszej wojnie światowej odzyskała niepodległość, bardzo żywe były tradycje wojskowe, bo to i Legiony Piłsudskiego i walki powstańcze na Śląsku czy w Wielkopolsce. To z kolei przedkładało się na wychowujące patriotycznie przyszłych obrońców kraju harcerstwo, co zresztą potwierdziło się w partyzantce i działaniach podziemnych w czasie ostatniej wojny. Zanim, więc jeszcze komuniści nie zniszczyli tego ruchu, działały - a szczególnie na kielecczyźnie, bardzo prężne struktury harcerskie, prowadzone przez przedwojennych działaczy związanych wcześniej z wojskiem czy partyzantką.

W samych Starachowicach, gdzie się urodziłem i spędzałem dziecięce i szkolne lata, hufiec zorganizowany na modłę wojskową, liczył kilkanaście dużych drużyn. W sumie prawie tysiąc harcerzy. Była nawet (nawiązująca do przedwojennych idei Ligi Morskiej) drużyna paradująca w marynarskich strojach, znana ze świętojańskich pokazów kajaków „przebudowanych” na kanonierki czy torpedowce, pływających po miejscowym zalewie.

Ja, mając wtedy niecałe 12 lat byłem jeszcze zbyt młodym na bycie harcerzem i na wyjazdy obozowe bez rodziców. Ale, że naszym sąsiadem był jeden z szefów hufca, podpowiedział rodzicom żeby mnie zapisali do drużyny zuchów - takiego przedszkola harcerskiego, to w wakacje będę mógł też pojechać na obóz. Przez kilka poprzedzających miesięcy ćwiczyłem więc marsze i podchody, aż wreszcie nadszedł czas wyjazdu.

Na stacji w Wierzbniku (to dzisiejsze Starachowice Wschodnie), podstawiono nam wagony towarowe. W jednym z nich, na wypchanych własnoręcznie słomą siennikach (cała jej góra była specjalnie przywieziona na peron), usadowili się wraz z drużynowym zuchowie. Pociąg był długi, bo na obóz zabrał się cały Starachowicki hufiec. Już było ciemno, kiedy pociąg ruszył. Odjechaliśmy jednak niezbyt daleko - tylko pod Skarżysko. Pociąg zatrzymał się, bo ktoś zauważył, że w naszym wagonie zapaliły się hamulce i musieliśmy przekwaterować się do innych wagonów. Taka pierwsza przygoda „alarmowa”. Potem już jechaliśmy bez przygód, choć my zuchowie niewiele mogliśmy oglądać po drodze, bo te „lepsze miejsca” w otwartych wrotach wagonu okupowali starsi od nas. Znowu było już ciemno, jak wjechaliśmy na dworzec w Jeleniej Górze. Ponieważ miało być kilka godzin postoj w oczekiwaniu na inny parowóz, wylegliśmy na peron, na którym ustawiono wielkie kotły i podpalono pod nimi ogniska, gotując kawę. Oczywiście zbożową. Wtedy był chyba wysyp komarów, bo strasznie dużo ich się w tej kawie potopiło...

Na zewnątrz dworca wznosiło się ostre zbocze, na dole którego były (zresztą są i dziś) kamienne wejścia do jakichś tuneli czy piwniczek, a my urządzaliśmy zawody, kto i ile razy najszybciej wbiegnie na sam szczyt. Czerń nocy rozświetlały wprost chmury, pierwszy raz widzianych przeze mnie światełków. Wreszcie załadowaliśmy się do wagonów, gwizd i ruszyliśmy w stronę niedalekiej już stąd Szklarskiej Poręby. Zdziwiliśmy się więc, że po nocnej jeździe, rano obudziliśmy się na stacji Jelenia Góra - Zachodnia. Okazało się, że most na Bobrze był po wysadzeniu przez wycofujących się Niemców jeszcze nieodbudowany i jechaliśmy jakąś okrężną trasą - chyba przez Jawor i Lwówek. Dalej poszło już bez przeszkód i przed południem dotarliśmy do końcowej wtedy stacji Szklarska Poręba-Julia, czyli stacji dalej za Szklarską Porębą Górną. Ponieważ ciężki sprzęt obozowy i część starszych harcerzy została już z Jeleniej Góry przetransportowana ciężarówkami, to nam na te nasze drobiazgi podstawiono furkę z koniem. Mimo smagania batem, koń nie chciał wcale nawet ruszyć i pamiętam, jak woźnica powiedział, że musimy poczekać, aż skończy się w kościele suma (to była niedziela). Wprawdzie nigdzie tu w najbliższej okolicy nie było widać kościoła, ale po godzinie koń, już bez zbytej zachęty pociągnął.

Naszym, zuchowym obozowiskiem okazał się położony na zboczu łąki zespół siedmiu czy ośmiu drewnianych domków – chyba wcześniej też służących niemieckiej młodzieży. Ułożyliśmy nasze sienniki jeden obok drugiego na drewnianych pryzkach, rozpakowaliśmy swoje plecaki i rozpoczęło się obozowe życie. Zbiórka na placu, porządkowanie i przyozdabianie otoczenia domków, posiłki i wędrówki po górach. Zaraz obok, w dużej willi umieszczone dowództwo hufca wraz ze swoimi rodzinami, a na dworze przy wielkich kotłach wojskowych rej wodziły kucharki. Pora posiłków była ogłaszana potężnym waleniem w wiszącą blachę a nie wiedzieć dlaczego, jedna z kucharek darła się: *Kanada, Kanada, Kanada*. No i jedna za drugą podchodziły z menażkami i manierkami drużyny harcerskie.

Tylko my, zuchowie mieszkaliśmy w domkach blisko kuchni, bo wszyscy harcerze mieli swój obóz po drugiej stronie toru i sporo niżej. Dookoła dużej polany postawionych było ze dwadzieścia wieloosobowych namiotów wojskowych – jeszcze z amerykańskimi oznaczeniami. Na środku placu stał maszt z chorągwią i tu odbywał się codzienny rytuał apelu porannego i wieczornego, w którym oczywiście uczestniczyła też nasza drużyna zuchowa. Na zakończenie dnia śpiewaliśmy taką „kołysankę” ze słowami „... w cichym śnie, uśnij już, Bóg jest tuż, Bóg jest tuż...” Bo wtedy jeszcze komuniści nie położyli na harcerstwie swojej łapy. W naszych zuchowych domkach, w przedsionku był kran z wodą, która wypływała pod tak dużym ciśnieniem, że aż wyrывało kubek z ręki. Do tego dopóki się „nie ustała”, tak była spieniona, że wglądała jak mleko. I strasznie zimna - bo to

pewnie z jakiegoś górskiego ujęcia. Dla nas ze środkowej Polski, tutejsze noce były okropnie chłodne, więc żeby jakoś dożyć do rana, przykrywałem się z moim szkolnym kolegą Zbyszkim Łukomskim obu naszymi kocami i ciągle, któryś z nas przeciągał je na swoją stronę. Dopiero na gimnastyce odmarzaliśmy.

No i łaziliśmy po okolicznych górach. Najbardziej pamiętam wycieczkę na Wysoki Kamień. Wtedy było tam czynne schronisko, gdzie wreszcie, wreszcie, można było ugasić pragnienie. Jak teraz obserwuje się szkolne wycieczki wążujące się po Szklarskiej czy Karpaczu, to pierwsze, co się zauważa, to u każdego albo w ręce, albo wystająca z plecaka spora butla coli czy fanty, doskonale więc te dzieciaki rozumiem. Oczywiście wyprawiliśmy się też do Wodospadu Kamieńczyka. Wtedy można było dojść dołem pod sam wodospad i stać na głazach, mając za plecami huczącą wodę. A że wodospad jest dość wysoki, to trzeba było dwóch zdjąć, żeby pokazać całość.

Z obozu do centrum Szklarskiej, czy do sklepów, było na piechotę dość daleko, no i nie pozwalano nam na samodzielne wyprawy, więc wolny czas spędzaliśmy na miejscu. Zaraz obok przebiegał tor kolejowy a nad nim był przerzucony mostek, z którego obserwowaliśmy przejeżdżające pociągi. Kiedy jechały pod górę, to lokomotywki strasznie dymiły i często po takim przejeździe mieliśmy usmarowane sadzą twarze, bo nikt nie chciał jako pierwszy opuścić „posterunku”. Linia z Jeleniej do Szklarskiej była wcześniej zelektryfikowana i jeszcze przez pierwsze lata po wojnie korzystali z niej mieszkańcy, ale potem przewody zabrali wyzwoliciele (bo miedź potrzebna do wyrobu broni) i pozostały tylko słupy i strzepy instalacji, więc wagony były ciągnięte przez parowozy. Mimo, że takie krótkie, to i tak na tych ostrych łukach bardzo piszczwały. Do końcowej stacji „Szklarska Poręba -Julia” – chyba wtedy jeszcze „Józefin” (od nazwy pobliskiej huty szkła), było niedaleko i ja - zafascynowany koleją, często tam chodziłem. Po wjeździe pociągu na stację parowóz był odczepiany, po jakichś przestawieniach zwrotnic wracał sąsiednim torem i był podczepiany z drugiej strony. Tak kilka razy dziennie. Widząc moje zainteresowanie, maszynista (pewnie on też kiedyś „marzył”, żeby nim być), zaprosił mnie do kabiny parowozu, objaśnił, co do czego i nawet pozwolił pokręcić jakimś kółkiem żeby pojechać w drugą stronę. No i „pogwizdać” ciągnąc za uchwyt pod sufitem.

Obok naszego zuchowego obozu było kilka opuszczonych przez Niemców a jeszcze niezasiedlonych willi, więc z ciekawości, choć z duszą na ramieniu poszukiwaliśmy ze Zbyszkim skarbów. Wszystko, co znaleźliśmy na strychu, to były tylko jakieś książki. Tak w dziecięcym szczęściu przeleciał nam prawie cały miesiąc.

Było to chyba w drodze powrotnej a może jeszcze w trakcie obozu (za nic nie mogę sobie przypomnieć jak to się stało), zwiedzaliśmy wrocławską Wystawę Ziem Odzyskanych, czyli WZO - specjalnie zorganizowaną na czas Kongresu Intelktualistów, i w którym, co podkreślano na każdym kroku, uczestniczył Pablo Picasso, co mi wtedy nic nie mówiło – z wyjątkiem zapamiętania gołąbka, który specjalnie na tę okazję namalował. Ta część Wrocławia nie była tak zniszczona i Hala Ludowa, jak nazwano Halę Stulecia, oraz Pawilon Czterech Kopuł i cały ten teren ze świeżo postawioną Iglicą, był okupowany przez mrowie zwiedzających. Nigdy już więcej od tamtej pory nie widziałem ani w kraju ani za granicą tak uradowanych tłumów. Wreszcie wojna się skończyła, przyszedł czas na zabawę...

Wkrótce po moim powrocie do domu, tata dostał urlop i znów, tym razem z mamą i moją dwuletnią siostrzyczką Halinką, pojechaliśmy na ten Zachód. I znów do Szklarskiej Poręby. Znajomi namówili tatę, żeby przyjechać do tego samego miejsca, skąd dopiero co wróciłem, bo tam teraz jest obóz kolonijny i możemy się po znajomości na parę dni zatrzymać. Podróż była dość męcząca, bo pociągi były okropnie zatłoczone - wszyscy się wtedy masowo przemieszczali po kraju. Jechaliśmy z przesiadką w Katowicach, potem przez Kłodzko i dalej (a po drodze było chyba ze siedem tuneli), przez Wałbrzych do Jeleniej Góry.

Jelenia Góra, niezniszczona w czasie wojny, była wtedy Mekką dla ludzi teatru i bazą wypadową. Głównie na „szaber”. Sklepy w podcieniach dookoła rynku kusiły najróżniejszymi, najczęściej poniemieckimi towarami. Mojej mamie wpadł w oko śliczny jasnoniebieski, wyszywany góorskimi kwiatkami kubraczek z czapeczką i rodzice wykosztowując się, kupili go dla Halinki. Z jej jasnymi loczkami wyglądała jak mała królewna. Stamtąd pojechaliśmy tramwajem do Cieplic Śląskich na Plac Piastowski. Uzdrowisko pracowało pełną parą, a w Parku Zdrojowym, do którego wchodziło się przez ukwieconą bramę, przechadzały się tłumy rozradowanych ludzi. Potem zwiedziliśmy muzeum, które mieściło się wtedy jeszcze w dużym budynku obok kościoła (gdzie dziś jest dyrekcja uzdrowiska). Na dwóch piętrach była pokaźna kolekcja dawnej broni oraz zbiór najbardziej egzotycznych ptaków. Najbardziej zafascynował mnie, umieszczony nad framugą drzwi do następnego pomieszczenia, mały koliberek z długim, jak on sam, cienkim dzióbkiem. Wtedy jeszcze te zbiory nie były rozwleczone po kraju. Ze zbiorów broni nie pozostało w Cieplicach nic - większość zagarnęło muzeum wojskowe w Warszawie. Jakaś część zbioru ptaków została uratowana i przeniesiona po latach do pawilonu w Parku Norweskim, stanowiąc dalej nie lada atrakcję dla szkół i turystów.

Nie pamiętam już, jak się nam udało zmieścić w czasie, ale byliśmy też na Chojniku. Można było wchodzić na sam szczyt wieży i oglądać panoramę gór. Potem tramwajem - od Sobieszowa do Jeleniej Góry. Chyba wysiedliśmy jeszcze dużo przed dworcem, bo pamiętam takie zdarzenie: do dworca prowadziła brukowana, niezbyt szeroka droga a chodnik, po którym szliśmy, oddzielał od niej rząd drzew liściastych. Nagle, gdzieś na wysokości budynku z dużym napisem „C. Hartwig” (to była spedycja samochodowa – późniejszy PKS towarowy) usłyszeliśmy nadjeżdżający z tyłu samochód i straszny zgrzyt. Zobaczyliśmy jak przednia ośka „dodżki” (to taka duża amerykańska półciężarówka) szoruje po bruku sypiąc snopy iskier a urwane koło pędzi w naszą stronę. Na szczęście wyprzedziło nas bokiem, po uderzeniu w któreś z drzew przewróciło się i po paru „konwulsjach” zamarło.

Po drugiej stronie torów zoczyliśmy jakąś restaurację, więc mając sporo czasu do pociągu, przeszliśmy do niej tunelem. Rodzice byli ucieszeni, bo akurat w karcie była wątróbka. Nie wiem, czy to ona, czy coś innego mi zaszkodziło, ale od tamtej pory na wątróbkę nawet nie mogę patrzeć. W tym czasie przejazd pociągów przez most na Bobrze był już otwarty, tyle, że zburzone przęsła zastąpiono prowizorycznie rusztowaniami z drewna. Pociąg przejeżdżał więc bardzo, bardzo, powoli, nawet kilkakrotnie się zatrzymując, żeby uspokoić kołysanie. Rusztowanie wydawało dźwięki, jak by miało za chwilę się rozpaść a ludziska panikowali albo się modlili. Odważniejsi wychylali się przez okna, żeby popatrzeć w przepaść, w dole której płynęła rzeka. Przez wiele lat mieszkania na tych ziemiach ciągle korciło mnie, żeby ten most znów zobaczyć i kilka lat temu zrobiłem z małym wtedy wnukiem Iwem pieszą wycieczkę (ścieżką przy rzece pod tym mostem), na „Perłę Zachodu”. A niedawno namówiłem obu wnuków, żeby odbyli z dziadkiem „sentymtalną” dla mnie podróż pociągiem z Jeleniej Góry do Szklarskiej. Pociąg elektryczny przemknął tak szybko, że nawet trudno było na tę przepaść popatrzeć. Ja nie odczułem tym razem takich jak wtedy emocji, a wnukowie nawet nie zrozumieli, czym ja się tak podniecam i całą tę nudną dla nich trasę urozmaicali sobie gramy w telefonie komórkowym...

Wracając do historii. Po drodze do Szklarskiej pociąg zatrzymał się na stacji w Cieplicach. Dziś nawet mnie trudno w to uwierzyć, jakie wtedy tętniło tam życie. Na peronie tłum ludzi z tobołkami i nawoływania sprzedawców: „*bułeczki z jagodami, bułeczki!*” i „*oranżada, oranżada!*” I znów znalazłem się w Szklarskiej Porębie. Tym razem, zamiast harcerzy, w domkach była dziecięca kolonia. Nam, na te kilka dni pozwolono ulokować się w domku przeznaczonym na izbę chorych, których na szczęście nie było. W tym domku był też skład żywności – głównie „unrowskiego” sera szwajcarskiego w ogromnych blokach z czerwoną parafinową otoczką. Tym serem nas na obozie harcerskim też karmili, ale jakoś nie za bardzo go lubiliśmy, natomiast mój tata bardzo się nim zachwycał i powoli też się do

tego smaku przekonałem. Oczywiście wyprawiliśmy się (teraz ja byłem „przewodnikiem”) na „Zakręt Śmierci”, z którego wtedy roztaczał się niezastłonięty drzewami widok na całą kotlinę, a także do Wodospadu Kamieńczyka. Tę scenę dobrze zapamiętałem. Obok wodospadu było stare schronisko a na placu przed nim kilka drewnianych stołów i ław, na których się usadowiliśmy. Ja miałem wtedy góralską laskę z bardzo modnymi wtedy „nabitkami” – takimi metalowymi blaszkami z wytłoczonymi obrazkami, symbolizującymi atrakcyjne miejsca, które się osobiście zwiedziło. A że największą atrakcją Karkonoszy była i jest Śnieżka, to, mimo że tam jeszcze nie byłem, „śnieżkową” nabitkę też miałem. Przy naszym stole siedział też starszy turysta, który z podziwem przyjrzał się mojej lasce, ale nie dowierzając mi, powiedział, że nie powinno się nabijać miejsc, gdzie się nie było. Skłamałem, że na Śnieżce też byłem, w co on jednak nie bardzo uwierzył. Było mi (zresztą czuję to do dziś) bardzo głupio...

Te kilka sierpniowych dni szybko zeszło i znów pociągiem, z przesiadką w Jeleniej Górze udaliśmy się do Kamiennej Góry - do brata mamy, wujka Stefana, który po wojnie, jak tylko wrócił z przymusowych robót w Niemczech, został zwerbowany do wyjazdu na ziemie zachodnie. Nasz przeładowany pociąg ciągnięty przez małą lokomotywę, zaraz po minięciu Kowar wspinał się mozolnie serpentyną w kierunku przełęczy i już chyba ostatkiem sił wjechał do tunelu, by po przejechaniu kilkuset metrów i to ciągle pod górkę, zatrzymać się. Ludzi ogarnęła trwoga, bo to i kompletna ciemność i rozchodzący się swąd dymu. Dochodziły do nas wiadomości podawane przez obsługę pociągu, że nie da rady jechać dalej pod tę górę i pociąg tyłem, tym razem ku przerażeniu wszystkich, coraz bardziej przyspieszając, wrócił na stację w Kowarach. Podobno po dodatkowy parowóz. Ale, że takiego nie było, to maszynista się zawziął i znów, nie tracąc zbytnio na serpentynie rozpędu, wjechał w tunel. Choć już wydawało się, że nie damy rady, pociąg przetoczył się wolniutko przez szczyt tej tunelowej góry i teraz dopiero się zaczęło. Pociąg rozpędzał się coraz bardziej, bo ta lokomotywka nie mogła go powstrzymać a pewnie i wagonowe hamulce nie działały za dobrze. Do tego piski i okrzyki przerażenia jakby żywcem wyjęte z dzisiejszej kolejki górskiej w lunaparku. Jakoś w końcu szczęśliwie dojechaliśmy do Kamiennej Góry. Wtedy czynne były chyba jeszcze wszystkie lokalne linie dolnośląskie i na stacji był tłok pociągów udających się w kilku kierunkach. Śmiesznie wyglądało, gdy dwa pociągi stały tyłem do siebie na jednym torze - bo jeden miał jechać do Lubawki a drugi do Marciszowa.

Wujek mieszkał w dwupiętrowej kamienicy na ulicy Katowickiej - na wylocie z miasta na Wałbrzych. Zajmował pierwsze piętro i miał ładne, pozostawione przez Niemców meble z orzechową okleiną, mnóstwo różnych figurek i innych bibelotów. Jak w wielu ówczesnych domach niemieckich, wprawdzie w mieszkaniu był zlew z bieżącą wodą, ale ubikacja znajdowała

się na półpiętrze. A, że nie była splukiwana, to nie pachniało to zbyt. Pewnie ta gruba rura łącząca ubikacje na kilku poziomach miała swoje ujście w przepływającej bezpośrednio przy murze piwnicznym rzece Bober – jak wtedy jeszcze nazywano Bóbr.

Po drugiej stronie ulicy i bliżej miasta, polską piwiarnię zajął nasz starachowicki sąsiad pan Antoni. Pan Antoni znany był nam już wcześniej jako spec od ciemnych interesów no i od „szabru”. (W tym czasie znaczną część mieszkańców stanowili przywiezieni tu całymi transportami starachowiczanie). Teraz oczywiście tata, (choć wcześniej raczej to nie była zażyła znajomość), był honorowym gościem, a i mnie gospodarz częstował piwem z sokiem malinowym. Gdy dorośli wspominali niedawne dzieje, ja próbowałem sił na bilardzie z grzybkiem. Pewnie tego soku było proporcjonalnie za mało, bo nie za bardzo mi to trafiało kijem w kule wychodziło...

Kamienna Góra, jak cała ta część Dolnego Śląska nie była zniszczona działaniami wojennymi i tętniła życiem. Przejęte od Niemców sklepy były pełne towarów. W pobliżu rynku kusiła wystawą dawna klinika lalek i moja mała siostrzyczka dostała od nowego właściciela (jak się okazało starachowiczanie, który nas zobaczył przez okno), piękną lalkę.

Idąc z wujkowego domu w stronę rynku był spory, zaokrąglony budynek, w którym umieścił się sklep typu mydło i powidło, a na jednej z dużych wystaw stał śliczny, kolorowy rower, jaki tylko mogłem sobie wymarzyć. Następnego dnia przyśniło mi się, że ten właśnie rower już mam. Niestety, rodziców nie było stać na taki zakup, ale okazało się, że wujek ma starą damkę i ją nam za niewielkie pieniądze odsprzedał. No i wreszcie, ja dwunastolatek, miałem swój rower. Dziś, w tym wieku dzieciactwa miewa już trzeci albo czwarty...

Przy odjeździe nadaliśmy rower na bagaż, a ja po powrocie niecierpliwie oczekiwałem, aż też do Starachowic po kilku dniach dotrę. Tyle, że musiałem go do domu prowadzić, bo dętka była dziurawa.

Ale rozpierała mnie duma i kątem oka rozglądałem się, czy inni to widzą...

Jak to podobno jest regułą, najbardziej wyraziste są wspomnienia z dziecięcych lat i żeby je wywołać z pamięci, wystarczy parę zachowanych zdjęć i przedmiotów z tamtych czasów.

I te, jako jedyne „namacalne” dowody, że to, co napisałem, było naprawdę, załączam.